

WSPOMNIENIA Z ŁOWÓW NA DZIKI

I

Dla mnie wcale nie jest wątpliwością wytwarzanie się mieszańców z swojskich świń i dzików, przeistaczających się w dalszych prokreacjach na odmiany łatwe do rozróżnienia od pierwotnego dzika. Stopnie tych odmian, nader zajmujące w badaniu i rejestrowaniu, są bowiem nieskończone, począwszy od białego zupełnie dzika, przechodząc do srokatych i plamistych, a skończywszy ich szereg na odmianach, niewidocznych dla każdego myśliwego, a jednak istniejących częściowo, pomimo, że koloryt zwierza do prototypu podobny. Pisząc jako badacz przyrody, używam wyrazu: *nieczystego pochodzenia* dla dzików, pochodzących z takich mezaljansów, licznie pojawiających się w Galicji, przeważnie na płaszczynach i nad rzekami dębostanem zarosłych. Mieszaniec, chociażby był zupełnie do dzika podobny, zachowa jednak w części znamiona charakterystyczne świni, i tak nie dorosnie nigdy rozmiarów czystego dzika, będzie mieć głowę mniejszą, uszy grube, czasem nieco

wiszące, a nigdy nie będą one lekkie, spiczaste, jak u prawdziwego dzika, któremi strzyże na wzór konia; ogon u niego będzie gruby i ciężki, nie łatwy do podniesienia i zwinięcia w obwarzanek, wkońcu nie nabędzie nigdy zuchwałości i odwagi dzika. Czy to w odyńcu, czy w stadzie, na pierwszy rzut oka prawie rozróżnimy pierwotne od mięszańców tak przed psami, jakoteż przed nagonką, pierwsze będą najeżone, z czubami między uszami, z ogonkami do góry podniesionemi, z grzywą na karku, z olbrzymimi głowami i nader wąskimi zadami, a ryjem podniesionym, szukającym wiatru, broniące się z podziwienia godną odwagą, ze zwinnością i zręcznością nader niebezpieczną, nie wydające kwiku w walce i cierpieniu; drugie mniejsze, truchtujące jak swojskie świnie, z uszami rzadko kiedy do góry podniesionemi, bez czubów i grzyw, z mniejszemi łbami, dające się psom dusić, nie stawiające mężnego oporu, z ogonkami wiszącymi, kwiczące w walce, jak swojskie świnie. Różnica ta większą jest u dzików, jak u sarn, których wielkość na naszym podgórzu jest tak znaczna, że waga ich zdwaja się wobec sarn niemieckich. Odyńce pochodzenia nieczystego nigdy nie będą miały tych olbrzymich brzytw i szabel, zdobiących właściwe dziki, ich kły rzadko kiedy zadadzą psom śmiertelne razy. W wspomnieniach moich zanotowałem wiele dzików tego pocho-

dzenia, w nader zbliżonych kształtach do pierwotnego zwierza, pomimo odmiennego płaszcza. Ubiliśmy olbrzymią samurę w otoczeniu pięciu ciemnych warchlaków, a dwóch srokatych; dalej białego wycinka prześlicznego co do kształtów; a wkońcu srokatę i srokatą samurkę dwuletnią.

Te odmiany zdarzają się wyjątkowo, a one dają nam naukę, jasno dowodzącą, że krew odwieczna i najsilniejsza zawsze się w potomności odtwarza, i z tej to przyczyny przeważna część mięszańców podobną jest na pierwszy rzut oka do pierwotnych dzików, a dopiero badanie pojedynczych części ciała wskazuje nam odmiany.

Zbierałem przez 42 lat mego polowania na dziki skrzętnie wiadomości, a spostrzeżenia zanotowane towarzyszą mi zawsze, a jednak, mimo niez mordowanych badań i porównań, dziś jeszcze nie umiałbym wyjaśnić przyczyn odmian, spostrzeganych w pierwotnych dzikach, i miejsc ich pochodzenia. Z pewnością twierdzić można, że są cztery odmiany lub podgatunki typowe, powtarzające się od wieków aż do naszych czasów, mianowicie: dzik długi a niewysoki, najczęściej ciemnej barwy; dzik krótki, wypukły, niby nieco garbaty, na wyższych nogach, karasiowaty, jak go myśliwi w górach nazywają; dalej są ciemne, niemal czarne dziki; a znowu jasne i srebrzyste. Dzik

karasiowaty jest katem dla psów, jego rzutność i zwinność wyniszczyć może psiarnię, złożoną z zajadłych psów, co mi się, niestety, nieraz zdarzyło; przeciwnie, dziki długie, ciemnego koloru, nie posiadające tej rzutności, nie są tak niebezpieczne, jak poprzednie, których samury nawet zjadały mi psy, czemu trudno uwierzyć, lub ryjem, jak taranem uderzając, zabijały walecznych mych pomocników. Widziałem wyrosnięte warchlaki, a nawet między niemi mniejsze, broniące się skutecznie wobec dwóch psów, i taki jeden warchlak gonił za mną przez kilka minut, kłapiąc zębami, spieniony z wściekłości, i byłby ukąsił i przewrócił, gdyby mnie psy nie wyratowały, gdyż ani chwili w tym pośpiechu stanąć nie mogłem, aby się zmierzyć i strzelić. Jak u wszystkich zwierząt, tak też u dzików są stopnie inteligencji, pamięci, odwagi, czujności, pracowitości i lenistwa czyli ociężałości. W tym względzie możnaby krocie wizerunków nakreślić, a jeden do drugiego nie byłby podobnym, i te to różnice stanowią rozkosz, upajającą w polowaniu z psami na dziki, a zwracam to twierdzenie w szczególności do odyńców.

Według mego doświadczenia, niemal pół-wiekowego, dziki od pradawna utrzymywały się w odwiecznych lasach Karpat, mając tam obfity żer w bukwie, w truflach i korzeniach, znajdujących się po górskich cieplicach,

w orzechach laskowych, a musiały one widocznie bez wysilenia zapokajać głód, gdyż dawniej nigdy nie słyszeliśmy o szkodach, wyrządzanych przez dziki w górach. Dopiero, gdy z wyżyn schodzić poczęły i rozmnażać się, gdy nastąpiło krzyżowanie z domowymi świniami, stały się dziki straszliwą klęską w łąkach. Przed rokiem 1848 nie pamiętam dzików na równinach, wyjąwszy Nadwiśla i Nadsanu, gdzie z Kongresówki nadchodziły, w Karpatach zaś i na Podgórzu były zawsze dziki we wszystkich znanych mi rewirach. Dopiero po kampanji węgierskiej, gdy ciche nasze lasy kolumnami wojskowemi, strażami chłopskimi, przekradaniem i przechowywaniem się młodzieży, wkońcu hałaśliwem strzelaniem zaalarmowane zostały, zeszyły dziki na płaszczyznę i, jak Hannibal w Kapui, tak one, zakosztowawszy wybornego wikt, pozostały u nas, i rozmnożyły się nad miarę. Mieszkając wtedy w obwodzie Brzeżańskim, w leśnej okolicy, przypominam sobie kilka stad i odyńców, pojawiających się u mnie, a że to był rok urodzajny na bukiew, dziki te pozostały, pomimo, że je dziesiątkowałem, rozmnażały się widocznie, i do chwili sprzedania mego majątku w r. 1857, w każdej chwili miałem to polowanie na każdej pono-wie. Te to dziki, posuwając się na niziny, a spotykając trzody domowych świń, pasących się po dębowych lasach i bukowych, wytworzyły

ową mnogość mięszkańców, dziś nie do obliczenia; w górach, pomimo przetrzebienia i spustoszenia lasów, przechowały się dziki wszędzie w krwi nieskalanej krzyżowaniem.

Polując w r. 1839 w rewirze Stale, w Mokreszowskiem państwie, pamiętam ślimakowe opłotki, w które hukające się domowe świny wpędzano, a one rodziły niemal zawsze mięszkańce, których już było wiele w lasach Rzeszowskiego obwodu, i te dziki rozchodziły się po innych kniejach naszej płaszczyny. Nie pamiętam nazwiska starego tamże nadleśniczego Niemca, zamiłowanego hodowcy zwierzyny do tego stopnia, że nigdy nie zabijał romansującego ze swinia odyńca, mówiąc: «Zamało ich jeszcze». Nie dziwny się swince, i nie potępiamy jej, że ona szuka swego prototypa okazałego, i że przenosi z nim związki nad te, które zawierała z brudnym i gołym knurem na błotnistym podwórzu. Nader często domowa locha ginie w lasach, dziczeje, a mając dostatek żeru, już do domu nie powraca, wywodząc niekiedy kilka generacyj kreolów leśnych. Odyniec uznał powabną swinę za godną swoich miłośnych zapałów, i często z narażeniem życia opuścić jej nie chce. Kilkanaście razy polowałem na tych swińskich Otellów, które w zaślepieniu nawet na podwórza zapędzać się dały, i życiem opłacały swe rozhukane chucie.

W roku 1843, jeżeli się nie mylę, zdarzył

się w Księstwie Poznańskim, w powiecie krob-
skim, wypadek nader ciekawy, zasługujący na
opis. Wprawdzie nie byłem obecny przy tej re-
prezentacji, ale przyjechawszy w kilka dni póź-
niej, słyszałem opowiadanie naocznych świad-
ków. Jeszcze to wtedy istniały obszerne lasy
z olbrzymimi dębami, dziś pływającemi po
morzach pięciu części świata. Ponieważ żołądź
zrodziła, wpuszczono za opłatą dwóch talarów
od sztuki, tysiące świń na zimowłę do lasu.
Owóz w tym roku zabłąkał się był tam kilko-
letni odyniec, a zwietrywszy dnia jednego
ujmujące, gładkie, okrągłe świnki, rozpoczął
konkury, i w tym dniu trzody już nie opuścił.
Gdy wieczorem pędzono dworskie śwynie do
leżącego wpobliżu folwarku, odyniec towarzy-
rzył trzodzie, i nie dostrzegł, że go zapędzono
na podwórze, jakoteż, że wrota zamknięto,
i rozgorączkowany wśród zabudowań rozbijał lo-
chy. Pastuch, widząc owego nieznanego mu po-
twora, pobiegł do dworu, i doniósł o tem zda-
rzeniu. Wszyscy zawołali: to dzik, trzeba go za-
bić! i co rychlej rzucili się do nabijania strzelb
kulami. Należy wspomnieć, iż wśród tych wszyst-
kich myśliwych żaden w życiu nie widział
dzika, i nie polował na niego, a ponieważ staro-
polska gadka przeznaczająca trumnę dla myśli-
wego w spotkaniu z tem zwierzęciem, zacho-
wano przeto wszelkie ostrożności, posunięte aż
do śmieszności. Po trzech stronach folwarku

były budynki, a czwartą część czworoboku zamykał mur dosyć wysoki z bramą i furtką. Po drabinach wdrapali się myśliwi na dachy i posiadali na nich, a było ich pięciu, szósty ekonom umieścił się na murze. Rzucano na odyńca kamieniami, aby go od świń odłączyć, lecz żadne strategiczne plany nie odnosiły pożądanego skutku, wreszcie jeden odważył się strzelić z narażeniem życia której z świń. Wtedy odyniec, czując niebezpieczeństwo, rzucił się ku furtce, pchnął ją ryjem i umknął cały szczęśliwie. Nikomu nie nasunęła się myśl, że dzik będzie uciekał tą samą drogą, którą wszedł, nie zabarykadowano furtki, a najzabawniejszym w tem polowaniu był ekonom, który, siedząc na murze koło bramy, nie miał odwagi strzelić, gdy dzik się borykał z furtką. Można sobie wyobrazić rzadkie miny owych myśliwych po tej katastrofie upokarzającej, że dzika z klatki tak nałodusznie wypuścili.

Drugi epizod drastyczny i niepodobny do wiary wydarzył się w r. 1852 w moich oczach, i dziś jeszcze niejednen z moich towarzyszków ów dzień pamiętny wspomina. W Rudnikach, w obwodzie Brzeżańskim, był znakomity tropiciel dzików pobereźnik Fedzio, pijak wprawdzie, jakto, niestety, często u myśliwych chłopów się zdarza, ale z okiem rysia, przebiegłością lisa, twardego organizmu, szydzącego ze srogości naszej zimy. Otóż czy to Fedzio na